Rozmaitości

Dnia 8. września **Nr 36.** 1838 roku.

ŚWIADEK

Z BOSKIÉJ OPATRZNOŚCI.

Zdarzenie prawdziwe.

Jednego poranku kocz pocztowy przejeżdżał szybko ciasne ulice małego miasteczka; w nim młody Anglik, strojnie ubrany, a na koźle służący w bogatéj liberyi; gdy oto nagle jedno koło łamie się w tysiączne kawałki.

»Mylordzie!« rzekł służący przestraszony, »możeś raniony?«

Tłum ludu zbiegł się na miejsce przypadku, a tytuł lorda, dany obcemu, sprawił na nim wrażenie czarowne. Cisną się do Anglika z uszanowaniem i ciekawością, pełną życzliwości. Każdy mu ofiaruje swe usługi; a cudzoziemiec wdzięczny, dziękuje obecnym uśmiechem za przychylność, którą mu okazują. Mało się potłukł, a głos jego, gdy mówił do ludu, był tylko trochę zmienionym.

»Ten mylord, jakiś człowiek grzeczny i przystojny,« rzekła jedna niewiasta.

»To prawda,« rzekł stary wyrobnik, »lecz jakże niemiłosiernie kaleczy francuzczyznę!«

»Ej, u licha! To rzecz bardzo naturalna; toćto lord!... Anglik... — »Daje po trzy franki postylijonom!« rzekł woźnica zcicha.

»Ma cztéry miliony dochodu!« dodał nadęcie *groom*; a pospólstwo powtarza: »Ej, u licha! to bardzo rzecz naturalna, to lord! Cztéry miliony dochodu!«

Jednak mimo to wszystko, kocz całkiem pogruchotany, wymagał długiéj naprawy. Cały dzień roboty ledwie wystarczy, by go uczynić przydatnym do dalszéj podróży.

Anglik widocznie tém zmartwiony, widzi się zmuszonym spędzić może 24 godzin w tém gnieździe; co za przykry wypadek dla niego! Nieukontentowanie i gniéw widać na jego twarzy; lecz w podobnych okolicznościach największą cnotą cierpliwość. Anglik przybiéra twarz wypogodzoną. Prowadzą go do najlepszéj oberzy i największe otaczają go względy. Zastawiono mu najdoborniejsze śniadanie i zdawał się niém być zadowolonym.

»Mości panie,« rzekł do oberzysty akcentem zamorskim, »co macie godnego widzenia w tém miasteczku?«

»Nic mylordzie, nic ciekawego.«

»Jakto! nié ma tu ani spacerów, ani teatru, ani ruin? żadnego pomnika starożytności? ja lubię gotyckie...«

»Nie mamy nic mylordzie, nic pięknego.«

»To nudno; *God dam!* mości gospodarzu, to wielce nieprzyjemnie!« rzekł obcy, ziewając na całą gębę i rozciągając się na sofie.

Potém po kilku chwilach milczenia, zwróciwszy się do gospodarza, rzecze z zamrużonemi oczyma: »Dwadzieścia cztéry godzin! to wieczność. Cóż robić w tym przeciągu czasu?«

»Mylordzie! śniadanie.«

»Jużem nie głodny.«

»Ależ, mylordzie!...«

»Nudzę się.«

»Już!...«

»Tak jest; mocno się nudzę!«

»Mylordzie, tu jest kościoł...«

»Katolicki?... jam protestant.«

»Podprefekt...«

»To nic zabawnego.«

»Sąd przysięgłych... trybunał...«

»O, o! macież szubienicę?«

»Mylordzie, to nie jest zwyczajem u nas.«

»Tém gorzéj!«

»U nas ścinają.«

»O, to przecudnie! czy ścinają dziś kogo?«

»Mylordzie, to się u nas rzadko zdarza, Bogu dzięki! Tymczasem zdaje się, iż tak zwany Jakób Mathieu będzie skazanym na śmierć dziś rano, a w tym przypadku wkrótce...

»A to przedziwnie! lecz cóż mi potém, ja zapewne już wtedy odjadę. Cóż on zrobił, ten pan Jakób?«

»Zabił człowieka zeszłéj wiosny w lesie Talaberskim; czyn jest dowiedziony.«

»Dowiedziony, o! I ten pan Jakób zabił człowieka! sam jeden?«

»Nie, miał towarzysza; drugi zbójca mu pomagał, lecz nie powiodło się schwytać tylko Jakóba Mathieu.«

»Któż był współwinowajcą?«

»Nie wiadomo.«

»A kiedyż będziecie mieli wyrok?«

»Tego ranka, mylordzie; miasto się tém żywo zajmuje.«

»A gdybym też ja poszedł popatrzyć się na Jakóba, możeby mnie to zabawiło?«

»On ma dziką postać, milordzie!«

»O! ma dziką postać?...« Tu znowu głosem przeciągłym zaczyna ziewać Anglik; nareszcie powstaje z sofy, bierze gospodarza za ramię i głosem rozkazującym mówi: »Do trybunału, a prędko!«

Trybunał już był w zupełnéj czynności, mnóstwo ludu zawaliło wszystkie przystępy, z wielką tylko trudnością mógł się przecisnąć cudzoziemiec. Jednakże, gdy się pogłoska rozeszła, iż jakiś wielki pan, przybywszy z Londynu, życzyłby sobie być przytomnym osądzeniu J. Mathieu; zostały rozkazy wydane, ażeby lord był przyzwoicie umieszczonym.

Anglik, usiadłszy na wzniesionem krześle, panował nad całém zgromadzeniem. Proces był już ukończony; żaden świadek nie stawał w obronę oskarzonego; wyrok śmierci na J. Mathieu zdawał się już być pewnym; dowody były obciążające, niezaprzeczne.

Aż oto morderca jeszcze raz powstaje i głos zabiéra: »Sędzowie! bądźcie sprawiedliwi, słuchajcie mię: Wszystkie pozory oskarzają mnie, to prawda, a jednak świadczę się Bogiem, że jestem niewinnym; téj saméj bowiem godziny, kiedym podług oskarzenia miał zabić nieszczęsnego starca, abym jego złoto zabrał, byłem w porcie Kaletu; pracowałem tam jako wyrobnik; rozmaici podróżni powierzali mi do ładowania na statek towary kosztowne; miałem u nich wiarę i zarobek.« To mówiąc zwraca oczy na lorda, zaczyna drżéć, wydaje krzyk zadziwienia i płacze z radości.

Cóż mu się wydarzyło? dla czegoż ta odmiana? ten płacz i radość? Oskarzony wznosi wzrok ku niebu, jakby je chciał brać za świadka swéj niewinności.

»Ach, mój Boże! mój wielki Boże! Tyś cudowny! Tyś miłosierny! Tyś niepojęty w swéj dobroci! On tu! on przede mną! jestem ocalony! Niewinność moja dowiedziona!«

Całe zgromadzenie w zadziwieniu. Sędziowie nie wiedzą, co to ma znaczyć. Anglik siedział jak słup i był obojętny. Policzki winowajcy są zroszone łzami, oczy się iskrzą, ręce składają się do modlitwy, cały jest przejęty uczuciem niewymownéj, niespodzianéj radości; słuchacze zdają się oczekiwać wypadku nadnaturalnego i są wszyscy wzruszeni.

Prezydent mówi do Jakóba: »Cóż tobie jest? cóż chcesz mówić?«

»Swiadek z Boskiéj Opatrzności!« rzekł Mathieu, prawie odchodząc od zmysłów; »świadek z nieba zesłany!« to mówiąc, wskazywał na Anglika.

Wszystkich oczy zwróciły się ciekawie na cudzoziemca, który oziębły, znudzony, nieruchomy, zdawał się nie rozumiéć słów oskarzonego. Lord był na pół spiący, słuchał nierozumiejąc, milczał, lorynetował, ziewał.

»Mylordzie! mylordzie!« wykrzyknął Jakób, »przez litość! patrz na twarz moję; czy nie poznajesz jéj?«

»Ja!?« odpowiedział Anglik oziębłym głosem, zwracając lorynetę na oskarzonego; »ja!?... uważać twarz twoję? Dla czego?... Ja nie znam go wcale.«

»O mylordzie! przypatrz mi się dobrze;« odrzekł Jakób głosem przenikającym i wyciągając ku niemu swe błagające ramiona; »przypomniéj sobie! ostatniéj wiosny podróżowałeś z Francyi do Anglii; przewoziłeś się z Kaletu do Dowru; było to w niedzielę; mylordzie, powinienbyś sobie to przypomniéć. Dałeś mi kufer do przeniesienia na statek, którym płynąłeś. Ja go wziąłem, a ty za mną szedłeś. O mylordzie! ja cię poznaję.«

»Prawda jest,« rzekł Anglik osłupiały, lecz zawsze zachowując minę lodowatą, »prawda jest, na wiosnę byłem w Dowrze; przebywałem morze w niedzielę.«

Na te słowa wykrzyk powszechny dał się słyszeć w zgromadzeniu. Wszystkich serca wzruszone, wszystkich oddech wstrzymany; nadzieja, zapał i trwoga obejmują tłum kolejno. Jakób nie przeraża wstrętem; zdanie się zmienia; Jakób zajmuje. Wzruszenie jest elektryczne, sędziowie ruszają się na swych krzesłach, a ogień zdaje się przebiegać i zapalać zgromadzenie.

»Mylordzie,« mówi daléj oskarzony, »jedno słowo! bądź łaskaw, jedno słowo jeszcze! Odezwałeś się do mnie z tém pytaniem: Francuzie, czyś żonaty?«

»Prawda jest,« odpowiedział Anglik, »pytałem się tak jakiegoś człowieka.«

»Mylordzie! a jakaż była moja odpowiedź? przypominasz je sobie?«

»O zapewne! osoba ta odpowiedziała: Mam żonę i dwie córki, a chłopiec jeden zginął mi na ospę, pomimo dobrego skutku szczepienia.«

Wybuch zdziwienia i wykrzyk radości stłumiły ostatnie wyrazy. Jakób był żonatym, miał dwie córki i chłopca, a całe miasto widziało o tém; Jakób stracił syna na ospę.

O! cóżto za chwila dla obżałowanego. Łzy stłumiły słowa jego: »Dokończ, mylordzie!« wołał obżałowany głosem serce rozdzierającym, »powiedz dzień, godzinę!«

Anglik słuchał go spokojnie, żadne wzruszenie nie okazało się w jego nieczułych oczach, żadna zmiana w twarzy, a myśli jego, pośród pytania, od którego zawisłe były śmierć lub życie człowieka, działały tak nieczule, tak oziębłe, jak gdybyto szło o najzwyczajniejszą rzecz w świecie, o rzecz najmniéj go zajmującą; jakbyto był zakład, walka kogutów, lub gonitwa koni.

»Mylordzie,« powtarza oskarzony; »o, powiedz dzień! powiedz godzinę!«

»Ten dzień,« odpowiedział nakoniec po kilku chwilach zastanowienia, »ten dzień... byłoto 15. kwietnia, a godzina o zachodzie słońca.«

Na to wyznanie podnoszą się tłumnie słuchacze; tysiączne oklaski zabrzmiały. Zamieszanie, rozruch dochodzi stopnia najwyższego. Jestto szał, jestto bachanalija! Zabójstwo, o które Jakóba Mathieu obwiniono, wykonanem było w niedzielę, o zachodzie słońca, a J. Mathieu był téjże samej chwili o mil kilkanaście; to *Alibi* zostało udowodnionem. Ręka Boska okazuje się widocznie.

Powóz cudzoziemca został zgruchotanym w chwili, gdy niewinność miała być potępioną wyrokiem śmierci; szlachetny Anglik był popchniętym ręką niewidomą na posiedzenie trybunału, ażeby wybawić ojca rodziny od hańby i kary śmierci. Ach, to jest posłaniec Boga, to świadek Opatrzności!

J. Mathieu został uznanym za niewinnego; wyrok uwolnienia jego przyjęto okrzykiem jednogłośnym.

Anglika odprowadzono w tryumfie! jestto narzędzie boskie, oto wybawca niewinności!

Swiadek Opatrzności wsiada tegoż wieczora do naprawionego pojazdu, i oddala się śród okrzyków i błogosławieństwa ludu z żalem całego tego miasteczka.

* * *

W sześć miesięcy po tym rzadkim i osobliwym wypadku, zostało nowe zabójstwo w lesie Talaberskim popełniono — a dwaj zabójcy, schwytani z puginałami w ręku, obciążeni złotem, wydartém swéj ofierze, byli wiedzeni przez żandarmów ku przyległemu miasteczku, gdzie się przed pół rokiem zesłaniec sędzi Najwyższego przypadkowo zatrzymał. Tłum, zbiegły dla oglądania zbojców, wydaje krzyk nagły: Co za zjawienie! o dziwie! Jeden z zabójców był Jakób, a drugi z nim skuty byłto — lord, świadek Opatrzności!

K. W.

RUSAŁKI.

Z dzieła: *Podania ruskiego ludu*, przez J. Sacharowa.

W niektórych okolicach Rossyi po dziś dzień jeszcze obchodzą święto Rusałek, i to co rok przez tydzień cały, który dotąd Rusalija nazywają, takto wierna pamięć ludu zachowuje każdą po przodkach odziedziczoną nazwę.

Miejscami pobytu Rusałek są: rzeki, łąki i jeziora, od ludzkich mieszkań odległe. Lubią one wodnistą okolicę, w której gdy późnym wieczorem blade światło księżyca osrebrzy strumienie, mogą bez przeszkody pływać po ich powierzchni. Wtedy pluskają ochoczo w przejrzystéj wodzie, usta ich zdobi wdzięczny uśmiech, lica barwą róży płoną, a ognisty wzrok wzywa ich pieszczotliwie do życia wolnego od trosk. Wilgotne włosy niektórych spadają wolno na lekką odzież; wieńce z sitowia

zdobią innych głowy; wiatrem unoszona szata pływa wkoło uroczego ciała, kryjąc i zdobiąc je na przemiany. Albo siadają nad brzegiem i pięknemi paluszkami czeszą gęste swe warkocze, lub też jak dzieci, bawią się w czystym strumieniu, oblewając się wzajemnie przezroczystą wodą, a gdy się księżyc nad spienione wały wzniesie, sięgają figlarnie po srébrzyste jego rogi, lub się pogrążają w głębinie, jak gdyby się przed blaskiem jego ukryć chciały.

Taka zabawa, z słodkim, ognistym spiéwem połączona, weselną ucztę zapowiada. Rusałki w wodzie ją obchodzą. W południe śród jasnych słońca promieni, pluskając wodą, i klaszcząc w dłonie, witają narzeczoną, która zwolna i zcicha z głębi wypływa. Śmiéchy, żarty i tańce rozweselają te gody. Lecz podług podania ludu, Rusałki nigdy jeszcze nie mogły ukończyć tego rodzaju zabawy, gdyż je zawsze przechodzący przerywają. Zaledwie spostrzegą kogo na brzegu, kryją się wszystkie pod wodę, wyjąwszy narzeczoną, która się zemścić pragnie. Dumnie się nad srébrne unosząc wały, uroczym spiéwem napełnia powietrze; głos jéj tak miły, tak przenikający, że każdy kto go posłyszy, złudzony, zczarowany, w słodkiém omamieniu bieży w objęcia dziewicy. Rusałka spuszcza oczy, przyciska do łona swą ofiarę, i łechce ją okrutnie; tymczasem rozdzielają się wody, i oboje zstępują do głębokiego mieszkania Rusałek, gdzie wieczną i niewysłuchaną gorejąc miłością, biédny młodzieniec swą śmiałość męczarnią przepłaca.

Do dziś jeszcze Mało-Rossyjanie unikają starannie kąpieli w tygodniu Rusalii lub przechodząc nad brzegiem wody, strzegą się klaskać w ręce. Powiadają także, że godzina południowa najniebezpieczniejszą jest do przechadzki, bo wtedy nikt nie ujdzie przed zemstą Rusałek.

Leśna okolica, przez Rusałki zamieszkała, okropną jest dla starych niewiast, a miłą dla młodych. Tam Rusałki lubią się zbliżać do ludzi, aby ich szczęśliwą cieszyć wróżbą, lub na śmierć załechtać. W lesie Rusałki mają jakiś związek z echem; lecz jaki, trudno tego nawet z podań dociec. Tyle tylko jest wiadomo, że echo zwabia podróżnego ku Rusałkom, które jak tylko Mało-Rossyjanina spostrzegą, wołają nań: »Daléj, daléj, na śmierć!« Dla tego też mieszkańcy Mało-Rossyi nigdy w tygodniu Rusalii głośno się nie wzywają, i tylko niedoświadczeni odpowiadają echu. Takich prostaczków prowadzą Rusałki w gęstwinę lasów i łechcą na śmierć. Mało-rossyjskie dziewice spiéwają dotąd pieśni o niebezpieczeństwie takich przechadzek:

O spiesz się, spiesz, dziéwczę lube!
Rusałki na twą czatują zgubę:
»Poczekaj dziéwczę! trzy zagadki
Musisz mi zgadnąć koniecznie.
Zgadniesz? puszczę cię wolno do matki;
Nie zgadniesz? zgubionaś wiecznie!
Powiedź mi: co rośnie, a nié ma korzenia?
Co bieży, a nié ma nóg ani wędzidła?
Co kwitnie, a kwiat ma nieznany od ludzi?«
— »To kamień co rośnie, a nié ma korzenia;
To woda co bieży, a nié ma wędzidła;
To kwiatu paproci nie widział nikt z ludzi.«
Ale biédna dziéwczyna o tém nie wiedziała,
Rusałka ją też sroga na śmierć załechtała.

Piosnkę tę spiéwają chórem, tak, że jedna część udaje Rusałki, druga bierze rolę dziewczyny. Osoby, znające z blizka obyczaje ruskiego ludu, wiedzą pewno o wielu piosnkach, które stare przygody w żywym wystawiają sposobie; najwięcéj daje się ich słyszeć nad Donem. Mało-Rossyjanie obchodzą święto Russalii przez dwanaście zielonych nocy, inaczéj świętemi wieczorami zwanych;*) wtedy ustają wszelkie prace, gdyż inaczéj mogłoby wielkie jakie nieszczęście spaść na dom i domowników. Wolne od zatrudnień dziéwczęta wymykają się tajemnie do lasu, wiją wieńce, rzucają je w krzaki, błagając Rusałek, aby im dały poznać los ich przyszły, i pozwoliły prędko spotkać przeznaczonych sobie kochanków. W niedzielę zielonego tygodnia wróżba na jaw wychodzi: wszystkie dziéwczęta biegną do lasu, pragnąc się o swém przeznaczeniu dowiedzieć. Tam w świeżym lub zwiędłym wieńcu upatrują znaku szczęśliwéj lub smutnéj przyszłości: »Tego wieńca nie dotknęła lekka dłoń Rusałki;« biada dziéwczynie! umrze w niesławie. »Ten suchy i zwiędły;« biada znowu, bo to jest obraz jéj narzeczonego. »Ale ten wieniec Rusałka miała na głowie; ten szczęśliwą przyszłość wróży!« Wtedy wszystkie biegną za wybraną towarzyszką do wody i rzucają na nią wieńce. Jedna się cieszy, że jéj wieniec płynie szybko, bo to szczęście

*) Od wilii Bożego Narodzenia aż do święta Trzech Królów.

w małżeństwie oznacza. Druga téj nadziei pozbawiona, zazdrości i milczy. Lecz jeźli wianek zatonie, wszystkie wracają smutne do domu, bo to jest pewnéj śmierci oznaką.

P. K.

NIEODGADNIONY

S T A R Z E C.

Z francuzkiego.

Roku 1812 w ogrodzie Luxenburskim w Paryżu, widziano pewnego mężczyznę, którego ubior i postać mogły być zabytkiem upłynionego wieku, a przezto samo w osobliwszym sposobie różnił się od młodzi, odwidzającéj zwykle ten ogród. Starzy ludzie, którzy jak się zdawało, bardzo dobrze go znali, poziérali na niego lękliwym wzrokiem, w którym przeklęstwo, bojaźń i wzgarda na przemiany się odbijały, podczas gdy młódź z oklaskami przyjmowała jego przybycie. Nie zbywało twarzy jego na niejakiéj godności; owszém, jego spokojne rysy, bruzdy, któremi poorane było jego lice, jego patryjarchalne czoło, którego nigdy nie zwykł ocieniać kapeluszem, nakazywały uszanowanie dzieciom; lecz peruka jego z harbajtlem była dla nich tak rzadkim widokiem, ceglasty jego frak miał krój tak staroświecki, krótkie fałdziste jego spodnie, jego duże trzewiki, słowem, cała jego postać była tak nadzwyczajną, iż dawała pochop ściągnienia na siebie szyderstwa zuchwałéj i rozpustnéj młodzi. A jednak zachowanie się jego znamionowało łagodny i poczciwy charakter.

Zdawało się prawie, jak gdyby młodsze pokolenie wynagrodzić mu chciało nienawiść pokolenia dawniejszego, albowiem każdą razą za wnijściem jego do ogrodu, powstawała zawsze między dziećmi powszechna wesołość. Rojem snuły się one w około starożytnego przechodnia, jak pszczoły około kwitnącego drzewa. Jedne, niby szukając przed drugiemi schronienia, kryły się po pod szérokie poły jego sukni; drugie puszczały mu bąka pod nogi; dziéwczęta składały mu najpiękniejsze ukłony; czasami upadła także piłka na staroświecką jego perukę; a wszystkoto działo się jedynie, by na siebie zwrócić jego uwagę i otrzymać coś z przysmaczków, które hojnie pełną garścią w koło siebie rozdawał, dopokąd nie wypróżnił swoich kieszeni, a wesoła młódź nie wróciła do swych zabawek. Z uśmiéchającą, i rzécby można uszczęśliwioną miną znosił poczciwy starzec ten, wszelkie jéj psoty; zdawało się prawie, iż nacisk téj dziatwy wynagradza mu nieprzyjaźne unikanie starych ludzi. Zachowanie się i cała postać tego męża ujęły mię tak mocno, iż życzyłem sobie zabrać z nim znajomość, a mówiąc prawdę, byłato ciekawość, która mnie ku temu skłoniła; albowiem był on dla mnie niejaką zagadką, którą rozwiązać usiłowałem.

Jednego wieczora spotkałem go w części ogrodu, stykającego się z ulicą *d'Enfer*. W dniu tym panowało wielkie gorąco, wieczór był parny, a ciężką burzę zapowiadało niebo. Już wielkie krople dészczu padać zaczęły. Tym wypadkiem przestraszeni wszyscy, co bawili w ogrodzie, zaczęli uciekać przed burzą bądź do swoich domów, bądź szukając dla siebie schronienia pod rozłożystemi drzew konarami. Mój staruszek obrał sobie ten ostatni sposób schronienia. Zdarzenie to było nazbyt pomyślném, abym z niego nie korzystał; udałem się za nim i usiadłem obok niego na ławce.

Tymczasem tucza mocno się srożyć zaczęła. Nasze obszérne, zielone poddasze zasłoniło nas przed jéj natarczywością; swobodnie mogliśmy patrzyć na jéj widok spaniały. Dészcz lał jak z konwi, a wichr popędzał go w tę stronę, gdzie siedział mój staruszek, tak, iż mu całkiem zmoczył jedwabne pończochy. Wypadek ten podał mi sposobność do rozpoczęcia z nim rozmowy.

»Mój panie,« rzekłem, »wćpan mokniesz na dészczu, a ja siedzę w miejscu bezpieczném; prócz tego mam bóty i surdut, które mnie ochraniają. Jeżeli się podoba zamieniamy się na miejsca.«

Zdziwiony moją mową pojrzał na mnie wątpliwym, ale przytém badawczym wzrokiem, potém odrzekł bardzo uprzejmie: »Z ukontentowaniem przyjmuję łaskawe zaproszenie wćpana; zwłaszcza, iż wilgoć moim starym i słabowitym nogom dojmować zaczyna.«

Zająwszy moje miejsce, rzekł daléj: »Jestto przeznaczeniem śmiertelnych, iż nie mogą użyć żadnego ukontentowania, aby jakowaś nieprzyjemność nie mąciła swobodnéj ich rozkoszy. Poco ta nieuchronna mieszanina najprzeciwniéjszych uczuć w życiu ludzkiém? Dla czego w każdéj najczystszéj rozkoszy znajduje człowiek osad goryczy?«

»Ponieważ rozkoszy nigdy rozbiérać nie należy. Jestto zasadą Epikurejczyków: Żyć stosownie do chwili czasu, i najlepszym środkiem używać szczęścia bez przeszkody.«

»Podobno wćpan słusznie mówisz. Gdybym poprzestał był na téj zasadzie, i uważał świat tak, jakim on jest w saméj rzeczy, nie żądając od niego ani poprawy, ani pochwały: zaiste, byłbym szczęśliwszym w mojém życiu!«

»Jak się domyślam piastowałeś wćpan zapewne jaki urząd publiczny?«

»Niestety! nawet nie jeden. Byłem praktycznym lekarzem; poświęcałem moję umiejętność dla ubogich bezpłatnie, i możeszże wćpan temu uwierzyć:

między stoma niewdzięcznikami zaledwo jednego znalazłem człowieka, który się mi odwdzięczył, a przytém chciwi zysku moi towarzysze rzucali na mnie potwarze. W każdéj sferze działania, napotykałem samolubstwo, niesprawiedliwość i oszczérstwo. W czasie terroryzmu starałem się w ognistéj mowie w Konwencie bronić praw ludu przeciw możnowładzcom, którzy je nogami deptali; w tryumfie odprowadzono mię do domu. Lecz niestety! Jakąż za to odniosłem nagrodę? Wniosek mój jako sposób jednakowego ukarania dla wszystkich klas, przyjęto; w podziękę okuto mnie w kajdany i już oczekiwałem chwili, w któréj głowę moję miałem stracić na rusztowaniu. Jakież było moje przestępstwo? oto zamiar uniknienia reformy, która wszelkie węzły społeczeństwa rozprzęga. Dzień 9. *termidora* uwolnił mię z więzienia i ocalił mi życie, które się zakończyć miało sposobem — ach, mój panie, gdybyś wćpan wiedział! Ja, który nieszczęśliwych jak moich braci kochałem, dla moich spółobywateli zostałem przedmiotem zgrozy! Skazują na mnie palcami i unikają méj obecności. A jednak sumienie moje jest spokojne; Bogu bowiem wiadomo, że tylko ludzkość i miłość mną kierowały; a przecież — ach, jestto srogość niesłychana!«

W téj chwili zostaliśmy straszliwym przerażeni łoskotem; niemal o sto kroków przed nami uderzył piorun w ziemię; ogłuszył nas obudwóch. Jednakże huk piorunu rozprószył burzę natarczywą; nagle przestał deszcz padać, rozeszły się obłoki, wypogodziło się niebo. Starzec z największą obojętnością wyjął zégarek z kieszeni, a postrzegłszy, że już było blizko ósméj godziny, powstał z pospiéchem, i przeprosiwszy mnie, że się tak prędko oddala, wyraził z uprzejmością życzenie, by się znowu ze mną wkrótce zobaczył. Gdy odszedł postrzegłem, iż się udał drogą ku bramie, która na przedmieście *St. Jaques* prowadzi, a gdy i mnie tą samą drogą iść wypadało, prosiłem go, by mnie pozwolił sobie towarzyszyć, naco przystał z ukontentowaniem.

Ledwożeśmy wyszli za bramę, gdyśmy postrzegli fijakra, którego mnóstwo ludu obstąpiło dokoła. Młoda, piękna dziewczyna, gwałtowną boleścią kurczu zjęta, leżała jak nieżywa w powozie. Fijaker opowiadał, iż ją wiezie z pobliskiego cmentarza, gdzie się z wielką pobożnością modłom oddawała, i przyniosłszy z sobą małą skrzynkę, tuliła ją tak długo pośród rzęsistych łez do swego serca, aż nareszcie otrętwiała i bez zmysłów padła, a teraz lekarskiéj potrzebuje pomocy. Staruszek mój poskoczył do niéj z skwapliwością. Kazał ją zanieść do pobliskiéj kawiarni, oddalił ciekawych widzów, zapisał najstosowniéjsze lekarstwa, i ujrzał wkrótce z ukontentowaniem, że cierpienia kurczu ustały, a dziewczyna przyszła do siebie. Atoli na wszystkie zapytania doktora nie chciała żadnéj dać odpowiedzi; dziękując mu za jego pomoc żądała z niecierpliwością, by ją fijakier odwiózł do domu.

Uderzyło nas wszystkich, iż dziewczyna ta, nawet podczas napadu słabości nie wypuściła skrzynki, i trzymała ją strętwiałą ręką. Nadaremnie przedstawialiśmy jéj, że jeszcze jest za słabą, by powrócić mogła do domu. Trzymając w jedném ręku skrzynkę, odpiérała drugą osoby, które ją zatrzymać chciały; razem zerwała się z pospiechem, i uszedłszy kilka kroków, zaczęła się chwiać i upadła osłabiona w moje ramiona. W téj chwili wysunęła się także skrzynka z pod jéj ramienia i upadłszy na ziemię roztworzyła się przed naszemi oczyma — ujrzeliśmy w niéj świéżo od tułowu odjętą głowę mężczyzny!

Mój staruszek, postrzegłszy to najpiérwszy, zadrżał na całém ciele i skrzyknął żałośnym głosem: »Wszechmocny Boże! to jest głowa gilotyno....;« i zemdlawszy upadł na ziemię.

Kawiarnik, domyślając się jakowéj zbrodni, pospieszył przywołać komisarza. Na usilne prośby urzędnika wyznała nakoniec dziewczyna, iż na ojcu jéj za popełnioną zbrodnię, z rana tegoż samego dnia wykonany był wyrok śmierci. Pieniądzmi i prośbami wyłudziła od grobarza odciętą głowę w celu zachowania jéj jako jedynéj swéj puścizny.

Nieodgadnionego staruszka, gdy cokolwiek przyszedł do siebie, zaniesiono prawie konającego do jego pomieszkania, i wtedy dopiéro dowiedziałem się o jego nazwisku. Byłto doktor Guillotin, wynalazca nieszczęsnéj machiny tracenia, która nosi jego nazwisko.

MURY KONSTANTYNOPOLA.

Przez Adelę Hommaire.

Rzeczą najbardziéj zadziwiającą w Konstantynopolu są bez wątpienia mury, otaczające to miasto od strony stałego lądu. Kilka razy całemi godzinami przechadzałam się po tych miejscach, a nie mogłam nasycić moich oczu pięknemi widokami, i tysiącem zmiennych kolei, przez które te mury tak malowniczemi i tak poezyjnemi się stają. Przyroda i czas wycisnęły na nich piętno wyraziste. Podróżując w niektórych okolicach Azyi, trudno znaleźć w pomnikach jéj takowéj rzeczy, którąby porównać można z temi pięknemi wałami, na których niezgasłym charakterem wyryte są dzieje Konstantynopola.

Zacząwszy od Siedmiu Wież, sławnego w dziejach tureckich zamku, aż do końca Złotego Rogu, w odległości prawie na jednę milę, mury te odsłaniają się przed oczyma naszemi w całéj spaniałéj swéj prostocie, i zdziwiają widokiem 366 wież najeżonych. Po wzgórzystéj przestrzeni rozwija się jak biała wstęga, mała drożyna, a na zakrętach jéj z przyjemnością spoczywa oko, któreby jednostajnym widokiem się znudziło.

Trzy rzędy murów przedzielone są od gościńca szérokim rowem, gdzie przyroda rozsłania się w całéj swojéj okazałości. Jestto ziemia niezmiernie płodna: dzikie figi, wspinające się w górę krzewy, drzewa wszelkiego gatunku, rosną tam bez wszelkiego pielęgnowania; ale najbardziéj zachwycają wieże rozmaitym widokiem swych postaci. Jedne okryte zupełnie bluszczem, wydają się na wierzchołku tych murów jak ogromne, zielone kościoły; drugie rozczepione jak widły tworzą najdziwaczniejsze kształty. Wszystkoto osobliwszy widok przedstawia. Przyroda wszędzie tak jest bujną, drzewa tak gęstém i szérokiém liściem okryte, a gruzy tak spaniałe, iż niepodobna wysłowić, co uczuwa człowiek na widok tego malowniczego obrazu.

Po drugiéj stronie gościńca rozwija się obszerne pole śmierci. Cyprysy, których smukły wzrost i posępna zieloność, odbijając od dziwacznéj i nieregularnéj postawy drzew owocowych, rozpościerają wielki i żałobny charakter na ten obraz poważny. Białe kamienie umieszczone na grobach Turków, i powiększéj części uwieńczone turbanem, mają wdzięk i posępność szczególną. Umysł najmniéj myślący i najmniéj filozoficzny, nie może się wstrzymać, aby nie podziwiał widoku, który przedstawiają te miejsca. Wszędzie obaczysz tam zabytki ruin: ludzie, ich czyny, wszystko zmieszane razem w nicestwie! Rzecz niezawodna, iż wielu zdobywców Konstantynopola spoczywa w tém miejscu, w obliczu tych murów, które wraz z drugimi burzyli. Blizko bramy Adryjanopolskiéj widać wyłom, przez który Mohamet II. dostał się do tego cesarskiego miasta. Mało jest epok w dziejach nowoczesnych, któreby tak ważny przedstawiały wypadek, szczególniej przez swoje skutki. Nieco opodal, w pobliżkości portu, znajdują się ruiny zamku Belizaryjusza; są to zwaliska muru, nie mające innéj wartości, tylko przez spomnienie, które z niemi się łączy.

Głęboka cisza, panująca w tém miejscu, przyczynia się niemało do wrażenia, jakie te miejsca wywiérają na wyobraźność. Bramy, przez które się wchodzi do miasta są prawie opuszczone. Kawiarnia, wodoskok, gdzie przechodzień zastaje zawsze czarę pełną świéżéj wody i kilku Muzułmanów, palących w najgłębszém milczeniu fajki, otóż wszystko, co ożywia miejsca, tak pełne spomnień starożytności.

Raz tylko na ganku najwyższéj wieży postrzegłam greckiego księdza. Zjawienie to, w tém miejscu, zdawało się mi niezmiernie poetyczném. Czegoż on szukał pośród tych zwalisk, które tak mocno przywoływały pamięci jego nieszczęsną epokę tryumfu Mohameta! Długa aż po pas spadająca siwa broda, włosiennica zakonna, a najbardziéj jego twarz zasępiona, nadawała mu postać jeniusza chrześcijańskiego, który przyszedł opłakiwać nieszczęścia wiary swojéj w miejscu, w którego obronie legł ostatni cesarz grecki; jakoż w saméj rzeczy, widząc go tak długo zanurzonego bez wątpienia w smutnych dumaniach, zaczęło mi mocno bić serce w piersi. Gdym się nareszcie od niego odwróciła, stał jeszcze na minarecie, którego uszkodzony szczyt wznosząc się do góry, nad drzewami i gruzami panował. Nie będę opisywać wrażenia, jakie na moim umyśle sprawiły te znamiona dwóch religij, które przypadek na tém samém miejscu połączył, a gdzie przed kilku wiekami tyle krwie za nie płynęło.

Malarz, poeta i filozof znajdą na téj przechadzce najrozmaitsze przedmioty do natchnienia. Lecz kilka godzin na niéj strawić potrzeba, by zrozumieć wszystko, co jest poetycznego i ocenić przedmioty godne zastanowienia w miejscu najsłynniejszém, jakie tylko w Stambule znaleźć można.

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 43. i 44., i obejmuje przedmioty następujące: N. 43. 1) O skutkach słotnego roku w gospodarstwie polowém. 2) Uwagi o chowie owiec w Węgrzech. 3) Jak długo należy paść bydło lub owce w jesieni na pastwisku? 4) O owczarniach z jednego pochodzenia. 6) O zwęglaniu kości. 7) O przemyśle. — N. 44. 1) O skutkach słotnego roku w gospodarstwie polowém (ciąg dalszy). 2) Obiéranie buraków z liści. 3) O żywieniu bydła kartoflami na kupie zgrzanemi. 4) Gotowanie ziemniaków bez ognia. 5) Korzystny sposób dojenia. 5) Uwagi o handlu wełną za granicą. 6) O uczących się Turkach sukiennictwa w Bernie na Morawie. 7) Rolnictwo w Kamczatce. 8) O jedwabnikach biały jedwab' dających. 9) Jedwab' w Anglii.

W piśmie berlińskiém: *Magazin fur die Literatur des Auslandes* z d. 22. sierpnia czytamy artykuł: *Die gräfliche familie Werszowiec*, wyjęty w skróceniu z artykułu J. P. Kaubka: »Ułamki jenealogiczno-historyczne,« który w tomie I. *Sławianina*, wydawanego przez Stanisława Jaszowskiego, wydrukował. Należące do lepszych rzeczone pismo niemieckie, będące niejako obrazem całéj europejskiéj literatury, zawiéra często przekłady i wiadomości z piśmiennictwa polskiego. Jakoż w niniejszym numerze, oprócz doniesienia o kilku nowszych dziełach, spomina także nader pochwalnie o poznańskim *Tygodniku literackim*, którego współpracownikami być mieni: hrabię Edwarda Raczyńskiego, jenerała Franciszka Morawskiego, jenialnego autora *Czterech wesel* Józefa Kraszewskiego, sławnego profesora we Wrocławiu Purkinje, i wielu innych uczonych piérwszego rzędu.

Z Berna. Znakomity uczony p. J. Szafarzyk był w miesiącu sierpniu w Bernie, dla czynienia naukowych poszukiwań. W Rajgrodzkim klasztorze Benedyktynów, śledząc między starożytnemi piśmiennemi pamiątkami, ocenił szczególnie wielką wartość dotąd niewytłumaczonych przypisków sławiańsko-cyrylskich, umieszczonych przy *martyrologium* z czasów Karola Wielkiego, utrzymując, iż one są podobno najstarszym dotąd znajomym zabytkiem cyrylijskiego pisma. Tutejsi przyjaciele piśmiennictwa czesko-sławiańskiego ofiarowali temu sławnemu pisarzowi, w znak ich wielkiego poważania i czci dla jego zasług, nader piękny srébrny kubek z napisem: »*Spisowateli Starožitnostj Slowanskych.*« *W Brnie dnie* 11. *Srpna* 1838; dano mu nadto pierścień z drogiemi kamieniami i wyrytemi na nim słowami: »*Szafarzykowi Morawianie* 1838;« któreto dary znany miłośnik nauk, ks. Cyryl Fr. Napp, prałat klasztoru Augustyjanów, panu Szafarzykowi jako gościowi swemu doręczył, wraz z poezyją czeską przez profesora Klacela na cel ten napisaną. Poezyja przepysznie wydrukowaną była złotemi czcionkami i ozdobiona srébrnym wizerunkiem Szafarzyka.

Z Wiednia. Stanisław Serwaczyński, znany wiolinista, dyrektor orkiestry teatru w Peszcie, przybył tu i ma się dać słyszeć w dniach tych w c. k. teatrze nadwornym przy bramie Karyntyńskiéj.

Własnoręczne listy Woltera. Müller, sekretarz biblioteki w Gota, któremu poruczony był dozór nad tajnemi archiwami tegoż księztwa, zajmując się ich uporządkowaniem, znalazł między pismami własnoręczne listy Woltera, pisane do księżnéj Ludwiki Doroty Gotajskiéj.

Nowo odkryty starożytny teatr. Pan Tecier w ostatnéj swéj podróży przez Małą-Azyję odkrył starożytny teatr w mieście Aspendus w Pamfilii. Scena tego teatru zupełnie dobrze zachowana, ozdobiona jest dwoma rzędami kolumn z białego marmuru. Liczne płaskorzeźby, upiękniające starożytny ten pomnik, stanowią nieoceniony skarb dla miłośników starożytności. Turcy

zowią go *Pałacem córki miodu*, i mniemają, że przez jeniuszów jest wystawiony.

Rzecz dla gospodarstwa domowego. Starożytni zwykli byli czasami kłaść do miodu przaśnego zwłoki umarłych, dla zachowania ich od zepsucia, jak pisze Staciusz o zwłokach Alexandra W. Dawnemi czasy lano także miód przaśny na purpurę tyryjską dla zachowania jéj świeżości, i nie jednę purpurę, która tym sposobem przez 200 lat była konserwowana, znalazł Alexander W. w Suzie. Dotychczas najlepszą metodą przesyłania szczepów owocowych, winnej macicy i t. p. w dalekie kraje, jest umieszczenie ich w skrzynce albo trąbce, które miodem są napełnione. Miód wstrzymuje szczelnie przystęp powietrza, a części roślin tym sposobem przechowane, nawet w kilka miesięcy po przesłaniu nie tracą siły wegetacyjnéj.

Podarek Napoleona. Pewnego dnia kazał Napoleon przywołać do siebie Talmę, celem zasięgnienia od niego rady, względem nowéj trajedyi, która na *Theatrze français* przedstawioną być miała. Po skończonéj rozmowie pokazał césarz sławnemu artyście starożytną kameę, głowę jednego z rzymskich cesarzów, przedziwnéj roboty. »Jakże ci się podoba ten kamień?« zapytał go césarz z udziałem. — »Jest bardzo piękny?« — »Nie widziszże na nim nic szczególnego? Przypatrz mu się dobrze!« — »Za dokładniejszém rozpoznaniem okazuje się, że wizerunek ten ma wielkie podobieństwo z twarzą W. C. Mości,« rzekł Talma. — »Zgadłeś, i dziwi mię to mocno, żeś od razu tego nie postrzegł, gdyż kamień ten jako kamea, byłby małoznaczącą rzeczą, któréjbym nie śmiał ci ofiarować, ale jako portret jest to pamiątka, i spodziéwam się, że ją przyjmiesz ode mnie. Wiadomo ci (dodał z uśmiechem), iż małe dary przyjaźń zachowują.«

Wpływ romansow Waltera Szkotta w Anglii. Z romansów Waltera Szkotta nie bardzo się podobał romans, pod tytułem: »Studnia Ronana *(St. Ronans well)*,« jakoż w Anglii nie przyjęto go z takim zapałem jak poprzednicze. Lecz tém bardziéj poczytali to sobie za zaszczyt mieszkańcy miasteczka Innerleithen, w którém znajduje się studnia Ronana. Znakomitości tamtejsze postanowiły jednomyślnie, aby odtąd miasteczko to nie Innerleithen, ale St. Ronan się zwało. Nowe nazwisko ściągnęło zewsząd wielką liczbę gości do kąpieli tegoż miasteczka, cena domów poszła w górę, pozajmowano liczne pomieszkania, a mieszkańcy starali się tym sposobem okazać swoję wdzięczność Walter Szkottowi, jako jeniuszowi ich miasta, iż każde nowe miejsce jego własném nazwiskiem, albo też nazwą jego dzieł mianowali. Tym sposobem w mieście St. Ronan znajdują teraz podróżni plac Abbotsfordu, hotel Marmioun, ulicę Wawerleja i tym podobne nazwy.

Podstęp zbawienny. Nie dawno wydarzył się na jednym francuzkim prowincyjonalnym teatrze następujący romantyczny wypadek: Pewna młoda, piękna, bogata wdowa, zakochała się w tenoryście, który dla upodobenia w teatrze kunszt malarski porzucił. Atoli artysta ten był tak mocno przywiązany do swego nowego stanu, że żadna rzecz, a nawet nadzieja pozyskania ręki pięknéj i majętnéj damy, nakłonić go nie mogła do porzucenia teatru. Co większa, by uniknąć wszelkiéj natarczywości, starał się zaangażować gdzie indziéj, celem wyjechania z tego miasta, w którém wdowa mieszkała. Jakoż w saméj rzeczy wyjechał, a kochanka przebrawszy się po męzku, natychmiast za nim się udała. Artysta przybywa do miasta i występuje publicznie po raz pierwszy, lecz skoro na scenie się ukazał, natychmiast dało się słyszeć mocne i nieustanne gwizdanie. Młoda wdowa, siedząca na parterze w towarzystwie kilku przekupionych mężczyzn, którzy gwizdali, uczyniła ten podstęp i zachęcała ich swym przykładem. Drugie wystąpienie było podobnież niepomyślne, a tém bardziéj i trzecie. Artysta miał rozum i szlachetny sposób myślenia; poznał on tylko świetną, powierzchowną stronę teatru. Oburzyło go to poniżenie. Z pospiechem wróciwszy za kulisy rzekł: »Przepadło, odtąd porzucam teatr i malarstwem trudnić się będę!« Téj saméj chwili staje przed nim młoda, piękna, bogata wdowa, która się tymczasem znowu w niewiescie suknie przebrała, i rzuca się w jego objęcie. Artysta ten jest teraz żonatym i szczęśliwym, i nie przestaje błogosławić ręki, która go z kłopotów teatralnego życia wybawiła.

Edukacyja w Egipcie. Pod względem wychowania młodzieży w Egipcie pisze pan Waghorn w swoim liście: »Londyńskiemu towarzystwu misyjonarzy wiedzie się tu bardzo pomyślnie. Miss Holliday, która przybyła tu (do Kairu) niemal przed rokiem, ukończyła naukę języka arabskiego, i założyła szkołę z ośmdziesiąt dziewcząt. Chciéjmy wziąć na uwagę, iż to jest piérwsza szkoła kobiét w Egipcie; wszelako jestemy przekonani, że nim sześć miesięcy upłynie, basza przedsięwczmie utworzyć coś podobnego; jakoż byłoby bardzo roztropnie z jego strony, gdyby równe miał staranie i o wychowaniu płci żeńskiéj. Szkoły w Kairze liczą obecnie 9.000 chłopców, ale prócz tego jest ich jeszcze w Alexandryi i w niektórych większych miastach Egiptu do 7.000; a zatém w ogóle szesnaście tysięcy uczniów.

Bajaderki. Paryzkie dzienniki donoszą, iż do stolicy przybyły *bajaderki*. W jednéj z kończyn Paryża, w alei *des Veuves*, zajęły te kapłanki wielkiéj pagody z Tendiwapuram swe pomieszkanie. Nizki domeczek ich, przy którym jest ogród, opasany szczodrzeńcem, przypomina Bengalów nad brzegiem Hugli (ujście Gangezu). W samym końcu ogrodu znajduje się altana, którą bogobojna Tille, mająca pewny rodzaj religijnéj władzy nad swemi towarzyszkami, zamieniła w pagodę. Pomiędzy gęstemi gałęziami widać tam niekształtnie wyciosane posągi bożków. W tém miejscu modlą się *bajaderki* do swego Bramy w chwili, gdy słońce po za łukiem Jenajskiego mostu się kryje. Inwalid, ogorzały egipskiém słońcem, stoi przy drzwiach domku na straży i zabrania dzieciom przystępu do ogrodu. Balet bajaderek składa się z pięciu tancerek i trzech muzyków. Cymbały, flet z trzciny i podłużny bęben, w który palcami się uderza, stanowią całą, nieco jednotonną muzykę. Przewodniczką baletu jest Tille, najstarsza z *bajadérek*, przytém najbardziéj z nich ukształcona. Nie ma lat jak trzydzieści, lecz wydaje się jak gdyby pięćdziesiąt miała. Dziewiętnaście lat liczyła, gdy utraciła małżonka, bramina; chciała za nim wstąpić do grobu, i już był stos przygotowany, ale urzędnicy angielscy przeszkodzili żywopaleniu. Od tego czasu stała się posępną i straciła świeżość cery; zdaje się nawet, iż to było powodem do oddalenia się z kraju, w którym wszystko przypominało jéj zmarłego małżonka. Amary, druga co do wieku, jest zamężna. Jest ona większego wzrostu ze wszystkich pięciu i mogłaby z rysów, gdyby kolor jéj twarzy temu nie zaprzeczał, ujść za Angielkę. Thendina i Rhogbum są powabne, mają po lat czternaście. Najmłodsza jest sześcioletnia dziewczynka, która często sama tańczy. Vedon, tak się nazywa ta maleńka dziewczyna, jest w dwójnasób zabawna, już to dla swojego wieku, już dla nadzwyczajnego ubioru. Nic nie masz podziwniejszego jak indyjski ubior na tém dziewczęciu. Do niezbędnéj ozdoby w indyjskim stroju należy mnóstwo klejnotów, pierścieni i innych świecideł; prócz kulców w uszach, noszą *bajaderki* także pierścienie u nosa. Co do pantomimy wyrównywają naszym najbieglejszym tancerkom.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*